ROK TRZECI.

№ 34.

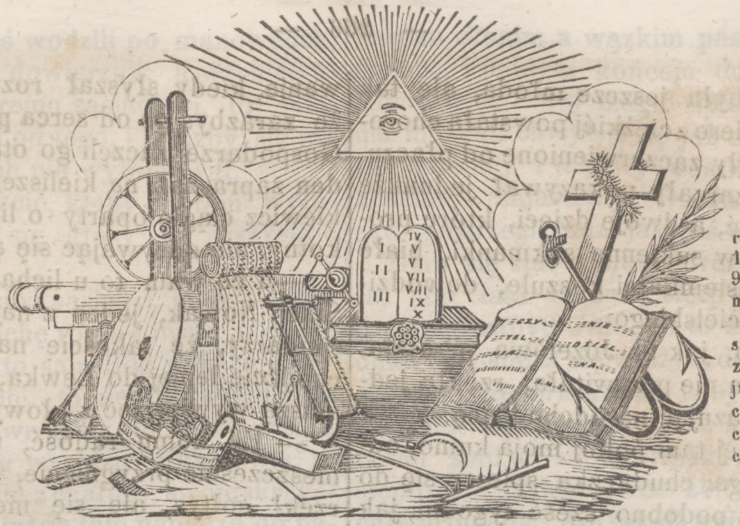
Warszawa

Dnia 10 (22) sierpnia

1858.

Niedziela

13ta po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45 miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący a wieczny Boże! przymnóż w nas wiary, nadziei i miłości; a iżbyśmy zasłużyli osiągnąć to, co obiecujesz, spraw, abyśmy miłowali to, co rozkazujesz. (Kollekta na niedzielę trzynastą po Świątkach)

Krzyż.

Człowieku! korne swe czoło zniż,
Gdy ujrzysz święty przed sobą krzyż;
Krzyż myśl rozświeca, nadzieję wznieca,
Serce orzeźwia w zdrój bożych łask,
I z rosą wiary stroi cię w dary,
Jak ziemię w maju słoneczny blask.
Kiedy cię grzechy w złym topią śnie,
Niech duch po krzyżu w niebo się pnie;
Bo krzyż jak kwiatem, strojnym bławatem
Uwieńczy twoję tak korną skroń,
I w twojem łonie radość zapłonie,
Bo z krzyża dźwignie cię Zbawcy dłoń.
Krzyż jest nadzieją i wiarą nam
I najpiękniejszą z niebiańskich bram,
Bo w każdej chwili, gdy serce kwili,
Duszę osłoni zwątpienia noc,
Łez wiary trzeba, a łaska nieba
Do walk z nieszczęściem udzieli moc.
Na krzyżu Chrystus gdy umrzeć miał,
Modlitwę łzawą ku Bogu słał,
I rzekł: twa wola, to moja dola,
I w kielich męki spadła Mu łza;
Nią lud wybrany uleczył z rany.
Więc w krzyżu dla nas nadzieja trwa;
Otóż nam Boże! w krzyż wiarę daj,
Z krzyżem swych cierpień nam w sercach trwaj,
A w każdej chwili będziem Cię czcili.
I krzyż złagodzi nasz życia trud;
A więc w pokorze wołamy: Boże!
Krzyżem swych cierpień osłoń Twój lud!

Dożynki.

Było już po nabożeństwie w kościele Skurkowieckim; cała gromada wsi Sucic wysypała się wielkiemi drzwiami, a że to był śliczny dzień jesienny, zatrzymała się pod rozłożystemi lipami ocieniającemi cmentarz. Z pustych drzwi od kościoła wyszła kobieta, prowadząc dwoje dzieci za ręce i nic nie mówiąc do nikogo, nie zatrzymując się ani jednej chwili na pogadankę, spiesznym krokiem przeszła około wieśniaków, a wyszedłszy na drogę bitą, udała się ku Sucicom.

Kobieta owa była jeszcze młoda, ale tak blada, jakby dopiero z ciężkiéj powstała choroby, a oczy jej były zaczerwienione od płaczu. Ubiór lubo podszarzały pokazywał jednakże pewną staranność, a dwoje dzieci, które prowadziła ubrane w sukienne sukmanki, białe z czerwonemi tasiemkami koszule, dowodziły starania rodzicielskiego.

— Patrzcie-no, jak to Józefowa przeszła, nawet się z nikim nie przywitała, rzekła jedna z kobiet, pokazując na odchodzącą.

— Ej, dajcie jej tam pokój moja kumo, odpowiedziała druga; chudaczka spieszy się do domu, boć to już podobno sześć tygodni, jak jej mąż leży obłożnie i nie wychodzi z chałupy.

— Ot gadacie... a przecieć mają dziewkę służebną.

— Alеć, mają tam, kiedy już trzeci dzień leży na tę samę chorobę co i Józef, jak ją to tam nazywają we dworze?

— Tyfus, czy jakoś mi się zdaje, odrzekła pierwsza. Ale to biedni Józefkowie; nie na żarty... choroba w takim czasie, kiedy największa robota, kiedy już wszyscy prawie posprzątali z pola, a u niego pono mało jeszcze co i tknięto.

— Ot gadacie, mało co tknięte, tam jeszcze u nich sierp nie był na zagonie, wtrącił jeden z gospodarzy—jegoć tam działki leżą przy moich, wszystko zboże na pniu oblata, że kiedy człek spojrzy, to się aż żal robi.

A chudaczek widać nie ma za co najmować, boć przecie u nas ludzi nie brakuje, żeby zapłacił, toby i pożęli.

— Bogać tam ma, jeżeli co było, to się wypotrzebowało na chorobę, a niedawno miał i pogrzeb matki, to i to kosztowało niemało.

Oparty o rozłożystą lipę stał sołtys Sucicki Antek Staszkiewicz, i nic nie mówiąc, przysłuchiwał się całej tej rozmowie. A był to chłop w sile wieku, ledwie dochodził czterdziestki; sukmana na nim biała z czerwonemi klapami i wyszyciami, barania ze wstążkami czapka kipiała na głowie na wszystkie strony, pas kowany Skotnickiej fabryki opasywał mu biodra, a na ogorzałej od słońca twarzy jego widać poczciwość i ten rozum chłopski, przed którym nabok wszystkie uczone rozumy. Długie czarne włosy spadały mu na ramiona, a w oku jego błyszczało takie politowanie, kiedy słyszał rozmawiające kobiety, że zarazbyś go od serca po sto razy uściskał. Gospodarze zaczęli go otaczać kołem i niejeden zapraszał na kieliszek wódki, ale Staszkiewicz ciągle oparty o lipę, stał jakiś markotny, nie odzywając się ani słowa.

— I co wam to u licha kumie? powiedział Stach Nowak, jeden z najzamożniejszych gospodarzy, że takeście nam odudzieli? — ot chodźcie lepiej do Lewka, to wam te frasunki muszą wywietrzeć z głowy.

— Ej! komu radość, to i radość, a kogo nieszczęście przygniecie, to go gniecie, odrzekł sołtys, ale się nie ruszył na krok od drzewa.

Na te słowa Stach Nowak przystąpił jeszcze bliżej i zaczął mu się pilnie przypatrywać, inni zaś gospodarze otoczyli go naokoło, a Stach wziąwszy go za rękę, zapytał z współczuciem:

— Czyby wam się jakie nieszczęście przytrafiło doma kumie, czy co niedobrego wisi nad naszą gminą?

— Otóż pomyślałem sobie teraz, póki człowiek zdrów i w szczęściu, to ma i przyjaciół; ale niechnoby mi się tylko noga powinęła, toby i przyjaciele gdzieś się podzieli—to tak jak ten kurz na drodze, co się podnosi z wiatrem i z wiatrem ginie.

— Ej! nie trzeba tak mój kumie mówić o wszystkich, póki się nie przekonacie—możeby też i nie tak było z wami, jak mówicie, broń Boże choroby, albo innego jakiego nieszczęścia.

— Juzcić co prawda, to prawda, odezwały się inne głosy.

— Ej! bogaćbyście mnie tam poratowali, kiedy pozwalacie, ażeby Józefkowi zboże na polu oblatało; a dyć to przecie także nasz, i nic mu nie macie do zarzucenia.

— No jużcić, cobyśmy tam do niego mieli powiedział jeden z chłopów.

— A żaden z was nie pomyślał o tem, żeby pomódz chudakowi, mówił sołtys, zpod oka spoglądając po zgromadzonych.

— Ej, ej! kumie Antku filucie, zawołał Nowak naprzód się wysuwając; już ja wiem do czego wyrychtujecie. Chcecie, żebyśmy się ot naprzykład dzisiejszej nocy zeszli wszyscy całą gromadą, i pożęli jego zboże. Alеć czemużeście nam odrazu tego nie powiedzieli

aleście nas tak jakoś wodzili po manowcach, jakbyście nam nie dowierzali; a przecieć to pomódz swemu choremu sąsiadowi, to Suciczanie nigdy nie byli od tego, i terazby się pewno żaden z naszych nie wyłamywał.

— A jużcić, a jużcić, ktoby się tam wyłamywał, odzywały się głosy na wszystkie strony.

— No, moi poczciwi sąsiedzi, mówił sołtys jakoś żeście mnie trochę rozradowali; pomódz biednemu choremu, to sam Bóg nakazuje. Otóż co mamy zrobić, to nie odkładajmy na potem. Jak więc powrócimy do naszej wsi, a miesiąc da Pan Bóg wzejdzie szczęśliwie, to mój Sylwester weźmie z chałupy swoje skrzypczyny, Kanareczka już ja tam napędzę do basów, i jak się tylko odezwie muzyka przed moją chałupą, niech jaki taki sierp ze ściany pochwyci, a gdzie jest kilkoro, to niech dwojgiem, albo i trojgiem wyjdzie, a da Bóg jednej nocy położy się wszystko — ale pamiętajcie chłopaki i białogłowy, żeby robota szła po ludzku: nie targać zboża, jedne przed drugie się nie wyżynać, kłosów za sobą nie zostawiać. No, więc cóż wiara, będziecie dziś wszyscy na dożynce?

— Będziemy, mój sołtysie! będziemy, odzywano się na wszystkie strony.

— Bóg wam zapłać moi poczciwi, to aż miło z takimi ludźmi.

Kiedy się już miesiąc wybił do góry, a ciepły jesienny wieczór zaległ naokoło, kiedy nadto przed chałupą Antka Staszkiewicza odezwały się skrzypce, jaki taki czemprędzej łapał za sierp, zamykał na kłódkę chałupę, i czemprędzej spieszył, gdzie się rozlegała muzyka. Ale młodzież nie chciała darmo tracić czasu, i wnet *hej! ha!* odezwały się podkówki u obcasów, i całe koło raźno zaczęło wykręcać obertasa na podwórku sołtysowem. A tymczasem ściągali się ludziska jedni za drugimi, i kiedy już wyszło ze dwa pacierze, a nie było już widać nikogo przybywającego, skrzypek zmieniając nutę, zagrał marsza i cała gromada pociągnęła ze śpiewaniem za kapelą.

Przez całą drogę odzywała się muzyka i śpiewy, a kiedy stanęli na pierwszym działku Józefka, a było ludu przeszło ze dwieście, to w mgnieniu oka zleciał połanek, jakby z bicza trzasnął. Połanki Józefka ciągnęły się bardzo długim a wązkim pasem przez staj ośmioro, i jednym końcem dotykały się lasu. Kiedy więc żeńcy ciągle śpiewając przy graniu muzyki, chwycili się już ostatniego połanka pszenicy i takowy dokończali, nagle w krzakach zajaśniały światła, a przy ich blasku spostrzegli ludzi jakichś uwijających się.

Dziw się stał wielki; naraz muzyka ucichła, jaki taki zarzucił sierp na ramię i jedno drugiego zapytywało, co to znaczy? Nikt jednak nie śmiał się zbliżyć do krzaków, żeby się naocznie przekonać, coby to było. Sołtys roześmiał się tylko na to i z kilkoma gospodarzami zbliżył się do krzaków, a za nimi postępowała, jakby owce zbite w jednę kupę, cała gromada. Ale jakież było zadziwienie na widok, jaki się przedstawił ich oczom? Na skraju lasu, pod drzewami były powbijane naprędce kołki na kształt koziełków w ziemię, a na nich poukładane długiemi trzema rzędami sosnowe tarcice, które właśnie w pobliżu rznęli tracze. Ogromny ogień z suchych gałęzi palił się cokolwiek naboku pod odosobnionem drzewem, a około niego stały kotły, w których się gotowały całe ćwierci mięsa i ogromne pieczenie piekły na rusztach. Na tych naprędce porobionych stołach, stały szklane lampy sowicie je oświecając, a pomiędzy niemi ogromne misy pełne jedzenia, i dzbany z piwem, pieniącem się jakby śmietana. Około tego uwijali się ludzie dworscy, naboku stała beczka z piwem, pod dozorem samego ekonoma, a cokolwiek dalej, fornalki powyprzęgane, na których widać to wszystko przywieziono przed chwilą. Na stronie cokolwiek był mały stolik nakryty bieluchną serwetą, a na nim stały rozmaite rzeczy do jedzenia, i dymił się samowar na herbatę. Przy stoliku tym siedział sam młody dziedzic Sucic i zacny ksiądz proboszcz Dulnicki, który jak się tylko ludzie rozeszli z kościoła do domów, kazał sobie założyć parę koni do swojej dryndulki, i zajechał zaraz do Sucickiego dziedzica; a kochał ci go młody pan jakby własnego ojca. Niezmiernie więc ucieszył się, kiedy zobaczył znanego proboszcza u siebie, a kiedy ten zaraz po przywitaniu opowiedział mu o szlachetnem przedsięwzięciu gromady, to się obydwa z poczciwym proboszczem omało nie popłakali z ukontentowania.

Ale dziedzic nie poprzestał na tem tylko,

i postanowił swoim wieśniakom wyrządzić niespodziankę. Czemprędzej więc przywołał ekonoma, i polecił mu, aby się udał z dworskiemi ludźmi do lasu przyległego działkowi Józefa i tam przyrządził wszystko do uczęstowania gromady.

Jak się tylko zbliżył wieczór, i dano znać ze wsi, że cała gromada z muzyką wyciągnęła na pole, dziedzic kazał zaraz założyć konie do wolanta, i uprosiwszy proboszcza, żeby mu towarzyszył, który się też i niebardzo dał prosić, inną drogą dojechali do lasu, a ztamtąd przy świetle miesiąca widzieli całą gromadę pracującą ochoczo, i dopiero jak zobaczono, że się już na ostatnim działku znajdują żeńcy, pozapalano światła.

Kiedy się gromada na czele sołtysa zbliżyła do ognia, zrazu nie umiała sobie wytłumaczyć tego widoku, ale kiedy poznała ludzi dworskich, i zobaczyła naboku siedzącego proboszcza i swojego dziedzica, wszystkiego się domyśliła. Głośne okrzyki ukontentowania rozległy się na wszystkie strony, i hurmem cała gromada otoczyła swoich dobroczyńców. Wówczas dziedzic powstawszy, uścisnął rękę poczciwego sołtysa, w serdecznych słowach podziękował mu za to, że swoją namową i przykładem zachęcił innych do dobrego czynu, i zaprosił wszystkich, żeby zasiedli stoły i pożywali, co im Bóg przez jego ręce daje. Ksiądz proboszcz powstał ze swojego siedzenia i przeżegnawszy wszystko, pobłogosławił i zachęcił do używania darów Bożych. Dziedzic z proboszczem chodził między niemi i rozmawiał z gospodarzami; a poczciwy pleban nauczał, że tak zawsze trzeba postępować, i jeżeli się widzi nieszczęście u swojego sąsiada, chętnie mu spieszyć z pomocą.

I tak skończyła się dożynka—gromada uraczywszy się, powróciła sobie wesoło ze śpiewami do domu, dopełniwszy dobrego czynu; dziedzic na trzeci dzień, jak zboże już wyschło, rozkazał zajechać swoim fornalkom, zebrać z pola i ułożyć w stodółce Józefkowej.

Rozmowa o deszczu.

— Oj bieda będzie panie, słońce wypala, i jeżeli deszcz prędko nie dopisze, to wszystko przepadnie w ogrodach i polach.

—Nie narzekajmy jeszcze, wszystko w ręku Boga, zdaje mi się, że deszcz lada moment będzie; patrzcie, oto kogutki na Stym Krzyżu na Wolę patrzą, deszcz zdaje się, że będzie długi.

— A cóż tam kogutki mają do deszczu, widuję je często zwracające się to na Wolę, to na Pragę, a spiekota jak pali, tak pali.

— Wiedzą to oddawna ludzie w Warszawie, że obrócenie i długie patrzenie się kogutka ku Woli wróży deszcz – jest to prawie pewną przepowiednią; wskazuje bowiem wiatr z tamtej strony wiejący, który za sobą pociąga deszcz długotrwały, tak zwaną pomorszczyznę.

— Być to może, ale ja temu bardzo nie wierzę.

— Jeżeli chcecie posłuchać, to ja wam wytłumaczę przyczynę tej wróżby, tak, jak mnie kiedyś uczono. Oto widzicie, tam na zachodzie słońca, gdzie Wola leży, daleko poza Niemcami i Francyą leży ogromne morze; gdy wiatr przebiega nad tém morzem nazwanem Atlantyckiem, to unosi z sobą wiele cząstek wody w kształcie par, których nie widać w powietrzu, ale które natychmiast się skraplają, gdy się powietrze oziębi, tworząc chmury deszczowe. A że przy tem powietrze w tamtych stronach jest cieplejsze jak u nas, a takie powietrze może daleko więcej pochłonąć i unieść z sobą wilgoci, więc gdy powietrze z tamtych stron nadciągnie do nas, gdzie jest zimniej, natychmiast część pary chłodnej, czyli wilgoci skropli się, wyda chmury ciężkie, z których pruszy deszczyk, a często i leje jak z cebra.

— A dlaczegóż nie zawsze jak wiatr pędzi z zachodu, deszcz u nas pada?

— Bo też nie każdy wiatr zachodni pochodzi, aż znad morza, czasem z bliska z Niemiec do nas wpada; lecz taki jest krótko-trwały. Gdy zaś wiatr wieje długo i ciągle z zachodu to napewne pociągnie za sobą powietrze i znad morza obciążone wilgocią. Dlatego się ludzie patrzą na kogutki wieży Sto-Krzyzkiej, bo tu na dole wśród murów trudno rozróżnić kierunku wiatru; wiatr się tłucze, załamuje między ulicami, ale tam wysoko nic go z drogi nie skręca i kogutki dobrze wskazują kierunek pędu.

— A czy to tylko wtedy deszcz pada, gdy wiatr wieje z zachodu?

— Nie koniecznie, i inne wiatry deszcz wywołać mogą, lecz najczęściej deszcz następuje przy długo trwałych wiatrach zachodnich, lub południowo-zachodnich, tak od Jerozolimskich rogatek, bo i te ostatnie wiatry bywają ciepłe i obładowane wilgocią, jako przechodzące nad morzami; chociaż te ostatnie w części pozbawiają się owej wilgoci, przesuwając się nad wysokiemi górami, których w tym kierunku między nami i morzem jest dosyć.

— A od Pragi czy niema morza?

— Nie, z tej strony blisko niema morza, bo tam się ciągną ogromne przestrzenie ziemi, równe prawie płaszczyzny Syberyjskie, po których wiatr płynący nie może się obciążyć wilgocią; stąd też wiatry wschodnie lub północno-wschodnie bywają suche, wróżą pogodę, a w czasie zimy, mocne mrozy, bo tam chłodniej niż u nas.

— Trzeba więc patrzeć na kogutki i czekać głównie deszczu od zachodu, bo coś w tym roku wieśniacy straszą drożyzną, a samemi kartoflami, które mają być w tym roku bardzo piękne, trudno wyżyć — zresztą jak brak chleba, to i kartofle nietanie; jedno idzie za drugiem.

Hygiena popularna.

(Patrz nr. 14 Czytelni)

Środek doświadczony przeciwko wściekliźnie.

—

Przy panujących obecnie upałach, w skutek których łatwo jest być narażonym na pokąsanie od wściekłego zwierza, nie od rzeczy będzie przytoczyć, podany przez ks. Mateusza *Lisieckiego* dziekana Wieruszewskiego, proboszcza w Wojcinie, *niezawodny sposób leczenia wścieklizny*, zwłaszcza, że jest nie kosztowny i łatwo może być użyty przez najuboższą nawet klassę ludności.

Sposób ten leczenia, jak to poświadcza pomieniony dziekan, więcej jak na 100 osobach praktykowany, ani razu nie zawiódł; szczególniej zaś zadziwiające okazał skutki, kiedy w miesiącu listopadzie 1839 roku wilk wściekły wyszedłszy z lasu do wsi Żdżar należącego, pod samą wsią Wiewiórką uderzył na owce i bydło włościanina Jana Mani, pędzone z paszy przez jego córkę i pokaleczył kilka sztuk; nareszcie rzucił się na 16to letnią dziewczynę toż bydło pędzącą, ukąsił ją w podbródek, i cały lewy policzek pogryzł; ztamtąd tułając się po różnych wsiach okolicznych, aż do parafii Kraszewice, gdzie został zabity, pokaleczył i pogryzł do 40 osób, prócz bydła i trzody. Wszyscy od tego wilka wściekłego pokąsani, mówi dalej ksiądz Lisiecki, którzy używali mego lekarstwa, obok środków od lekarzy powiatu Wieluńskiego i Kaliskiego im przepisanych, równie jak i ten człowiek, który go zabił, mocno pokaleczony, zostali przy zdrowiu doskonale wyleczeni. Cztery zaś osoby w parafii Kraszewice, od tegoż samego wściekłego wilka pokąsane, które nie wiedziały o moim sposobie leczenia wścieklizny, pomimo użycia środków przez lekarzy przepisanych, pomarły. To moje podanie, dodaje ksiądz Lisiecki, mógłbym udowodnić świadectwami kilku wójtów i naczelnika powiatu Wieluńskiego.

Zbawiennem tem lekarstwem jest roślina *Trędownikiem* (Scrophularia nodosa) zwana; zbiera się ona w miesiącach Czerwcu i Lipcu z korzeniem, suszy się na wolnem powietrzu w cieniu. W razie potrzeby użycia, korzonki odkrawają się od łodygi, opłukują się z ziemi, suszą na gorącym trzonie, i trą się na proszek w moździerzu lub na kamieniu. Tego proszku daje się ukąszonemu od wściekłego zwierza, dobrze na koniec noża wypić z łyżką wody naczczo rano i na noc, bez różnicy wieku. Łodygi zaś, liście i kwiat kraje się drobno jak sieczkę; tak pokrajanego ziela bierze się szczypta w trzy palce do pół kwarty wody, dwie takie szczypty gotuje się pod pokrywką, jak inne ziółka, odcedza, przestudza i daje pić letnio, pokąsanemu, przed południem i po południu za zwyczajny napój, przez dni 8 do 14stu.

Na rany od wściekłych zwierząt zadane, dobrze jest rozpuścić sól kuchenną w miękkiej wodzie i tą wodą rany często przemywać. Gdzie mało znajduje się trędownika, można raz odcedziwszy, drugi raz nalać i mocniej gotować, odcedzić i dać pić bydlętom.

Pogryzioną trzodę tym samym odwarem poić, przysypując proszku trzy razy dniem.

Praktykując ten sposób, mówi dalej ks. Lisiecki przez lat około 40, jedna zdarzyła się niewiasta, która już okazała symptomata wścieklizny; ale i ta przy pilnem używaniu

mego lekarstwa, bez innej pomocy szczęśliwie uleczoną została.

Zacny ów kapłan, przesyłając przepis powyższy jednej z miejscowych gazet przed kilką laty, dla podania go do powszechnej wiadomości, powiada wkońcu: Za szczęśliwego się poczytam, gdy szanowna Redakcya ten mój artykuł i receptę umieści w swojem piśmie, jako swego prenumeratora i do innych pism przeniesie; albowiem przeżywszy już lat 71 wieku, niedługo będę mógł sam ratować nieszczęśliwych.

Podając do wiadomości naszych czytelników powyższy przepis, jesteśmy przekonani, iż obudzimy tem wdzięczność w ich sercach dla cnotliwego starca, co już nad grobem będąc, myślał jeszcze o przekazaniu zbawiennego środka przeciwko okropnej chorobie, aby nim ocalić niejednego ze swych współbraci.

W uzupełnieniu powyższego artykułu, dodamy, iż trędownik węzłowaty czyli pospolity, rośnie w całej prawie Europie w miejscach wilgotnych i zacienionych, ma korzonki snujące się po ziemi, węzełkowate, liście w kształt serca wycięte, ostre, piłkowane, kwiat w gronkach podłużnych brudno - czerwony, smak przykry, zapach silny, mglący, łodyga dwułokciowa, czworograniasta, ostrokątna, gładka.

Własności jego lekarskie są łagodzące, rozpędzające i uspokajające, liście używane na nabrzmiałości skrofuliczne; skuteczny jest również na rany, hemoroidy, trąd, i przeciw skrofułom.

Pokój z obrazkami.

III.

(Patrz nr. Cz. 28).

—

W dni kilka przypadało święto uroczyste, Adaś i Józio, już od dwóch dni męczyli starego Jakóba, aby uprosił pana Dąbrowę, żeby im pokazał więcej obrazków. Jakób im odrzekł:

— Dobrze moje chłopcy, ale przyjdziecie po obiedzie nad wieczorem, bo widzicie ranek zejdzie na nabożeństwie, potem obiad, potem jegomość fajeczkę pali i drzémie, i ja sobie szpaczka utnę. Ot tak przyjdzie po czwartej, będzie dobra pora, a pan co tylko oprawił i powiesił śliczny obrazek na ścianie, to wam go pokaże.

Adaś i Józio czekali z utęsknieniem na znaczonej godziny, i gdy Wojciech wyszedł do sieni, już ich zastał stojących pode drzwiami. Wprowadził ich zaraz do pokoju; ucałowali z radością ręce pana Dąbrowy, i stanęli przy ścianie, na której ujrzeli nowy obraz.

Zpod obszernego sklepienia bramy, widać boczne baszty jakiejś fortecy. Na mur w części rozwalony wdzierają się tłumem turcy, poprzedza ich najmężniejszy z szablą i buńczukiem księżycowym w ręku, pragnąc go zatknąć na ich wierzchołku, jako godło zwycięztwa pogan. Z bramy bocznej wypada wycieczka zbrojnych polaków, wiedziona przez chorążego, co rozwija sztandar z krzyżem. Walka ręczna zażarta toczy się na gruzach. Dalsza baszta w płomieniach, matka spuszcza przez okno dziecię na ręce żołnierza.

Pod wielkiém sklepieniem, na stole na poduszce leżą klucze od bram fortecy, jakby gotowe do oddania ich w ręce zwycięzców. Przy nim stoi mąż w sile wieku, w polskim stroju, na szabli dobytej oparty, z wlepionemi oczyma w niewiastę, co wybiegła na kilka schodów, a w prawej ręce trzymając nóż, lewą wskazuje na wdzierające się tłumy pogan. Przy tymże stole siedzi stary wojownik w rozpaczy, bo zwątpił o możności obrony, inni uniesieni zapałem niewiasty, z szablą i berdyszem zdają się wołać: Dalej! naprzód, zwyciężym teraz turków.

Poniżej stołu, sędziwa niewiasta opatruje rannego. Naprzeciw gromadka kobiet z dziećmi i starców, to klęcząc, to składając ręce, patrzą na ową niewiastę, co z nożem w ręku na wzniesieniu stoi. Za niemi turek skrępowany, zdaje się cieszyć, że wkrótce go zwycięzcy poganie uwolnią.

Kiedy chłopcy długo się wpatrywali w ten piękny obraz, pan Dąbrowa przemówił:

— Dawne to już czasy, bo blisko będzie lat dwieście, jak się to stało, co widzicie na tym obrazie. Panował wtedy król Jan Sobieski, szlachcic polski, pod imieniem Jana III, ten sam co obronił Wiedeń austryakom, pobił trzykroć sto tysięcy turków, i potem miał wielką na cały świat sławę. Kochano go bardzo, a naród przez pieszczotę zwał go królem *Sobkiem*. Ten zamek, co widzicie z basztami,

nazywa się *Trębowla*; gruzy jego widoczne jeszcze na wzgórzu sterczą w Galicyi. Tu dowodził Chrzanowski w r. 1674, kiedy nawała pogan osaczyła cały zamek i rzuciła się do szturmu. Od huku armat drżała ziemia, drżały baszty, a od ich kul mur w kilku miejscach runął; po tych zwaliskach spieszą turcy, aby zdobyć chociaż jeden wyłom. Oblężeni mężnie odpierają szturmy, lecz zmęczeni bojem, widząc takie chmary pogan, upadli na duchu. Sam Chrzanowski zwoławszy radę wojenną, już klucze bram zamkowych chciał złożyć turkom, na znak poddania, gdy nagle z nożem wbiega dzielna jego żona. Widzicie ją, jak natchniona wyższą mocą, staje na wzniesieniu i mówi do męża:

— Oto jedna chwila! turcy już się na wyłom wdzierają! Dalej naprzód! Jeżeli myślisz o poddaniu, to ci zapowiadam, że tym nożem i ciebie i siebie przebiję; bo hańby niewoli nie przeżyję!

Zapał jej obudza nanowo męztwo w sercu Chrzanowskiego i jego towarzyszów broni. Nikt nie myśli o poddaniu; raczej śmierć, niż niewola. Uderzają na wyłom zdobyty przez turków, w pień ich wycinają; zamek trzyma się dni kilka, aż w sobotę w dzień Matce Boskiej poświęcony, drogą ode Lwowa ujrzano chorągwie króla Sobieskiego, na których widok poganie uciekli.

Tak męztwo jednej niewiasty uratowało zamek Trębowli, a król dowiedziawszy się o tem, dziękując Chrzanowskiej, stawiał ją za wzór rycerstwu swemu. Przyjąwszy obiad w murach zamku, wzniósł jej pierwsze zdrowie, i bogatym pierścieniem na pamiątkę tego bohaterskiego czynu udarował.

Kasper Rybak

podoficer z Kaukazu.

(wyjątek z listu z dnia 1 października 1856 r.)

—

Widząc, że w kraju naszym gazety umieszczają wspomnienia osób, nietylko tych, które się odznaczyły w ciągu ziemskiej pielgrzymki życiem publicznem, ale nawet głośnych z domowych cnót swoich, zbieram się i ja na zapisanie w tym liście wspomnienia o wielce uczciwym człowieku. Sami uczujecie dlań szacunek i westchniecie za nim, aby mu Bóg dał wieczny odpoczynek, gdy przeczytacie poniższą historyę.

Myśląc o tem, jak wszędzie, zawsze i każdy człowiek z chwałą dla siebie, a z pożytkiem dla bliźnich może zadość uczynić wymaganiom powinności swoich, myśląc o wielu, wielu nieboszczykach zacnych, przypomniało mi się, jak na początku przeszłorocznej wiosny, w piękny poranek, ujrzałem wchodzącego do mnie znajomego podoficera, wielce zafrasowanego i zbolałego.

— Co ci jest bracie? zapytałem.

— Nic panie, tylko Kasper Rybak umiera.

— Któż to taki? twój znajomy, przyjaciel?

— Przyjaciel, panie mój i wielu, dawny wiarus, podoficer Apszerońskiego pułku.

— Któryż to?

— Oto ten, którego pan widywałeś zawsze na przedzie processyi, niosącego chorągiew białą, i który po nabożeństwie stawał przed kościołem i na czele gromady żołnierzy, oczekiwał księdza kapelana, aby go powitać godłem chrześciańskiem.

— A to ten siwowłosy mężczyzna, wysoki... ależ go widziałem niedawno w zupełnem zdrowiu.

— Zasłabł panie przed dwoma tygodniami i od tego czasu leży w szpitalu wojennym.

— No bracie, może wyzdrowieje i smutek twój przejdzie?

— Miałem tę nadzieję i on sam ciągle się pocieszał, że przyjdzie do zdrowia; jednakże dziś co innego panie. Nie poznaje nikogo, dogorywa; niema rady, zdaje się, że umrze, a nie chce mu się umierać. Rwie się na łóżku i ledwo można go zrozumieć, jak pasuje się ze śmiercią, jak powtarza ciągle słowa: nie, nie chcę... pragnąłbym żyć... jeszczem silny... wrócę—ksiądz go już wyspowiadał.

Tu łzy opowiadającemu zabłysły w oczach i dodał po chwili:

—Służba mi nie pozwoliła odwiedzić go przez całą noc, i kiedy zrana przyszedłem, zastałem kilku żołnierzy klęczących przy łóżku.

— Jednak, rzekłem, widzę że go lubili ludzie.

— Poważali go panie, bo to był człowiek rzadki. Czy gdzie sprzeczka, czy gdzie radzić się wypadnie, czy komu pociecha potrzebna, to wszystko niósł Rybak. Jemu wszystko uchodziło, chociaż kogo i połajał na fun-

ty. Pomagał więcej potrzebującym, a teraz sam został bez pieniędzy. Racz pan z swojéj strony ofiarować cokolwiek dla niego; w chorobie zawsze się grosz zda, a jeśli umrze, to ze składki sprawimy mu pogrzeb.

I z datkiem moim poszedł godny kolega Rybaka po składkę do innych oficerów.

Za parę dni, właśnie gdym się zbierał odwiedzić tyle lubionego przez towarzyszy żołnierza i przez ich rodziny, powiedziano mi, że już nie żyje i że niezwłocznie, z przyczyny nagłego wyjazdu księdza z Szury do sąsiedniéj forteczki, pochowanym będzie. W parę godzin potem, ksiądz z licznem zgromadzeniem, poprzedzony chorągwią białą, którą nosił za życia Rybak, wyprowadził zwłoki zmarłego na cmentarz. Między śpiewanemi ustępami psalmu, grał zapłacony ze składki chór muzyki, dopóki nie stanęli nad grobem. Tu ksiądz kapelan Pruszkowski przemówił do ludu w kilku słowach, wspomniał o poświęceniu Rybaka, który chociaż skromne zajmował stanowisko, jednakże był tak moralnym, że na wszystkich wywierał wpływ najlepszy, że zjednał sobie szacunek powszechny i miłość. Dodał potem: Dziękuje ci Kasprze twój kapelan, żeś mu pomagał w utwierdzeniu ludzi w dobrem, a nie mogąc ci się inaczej wywdzięczyć, będę modły przesyłał do Boga, aby cię dziś po śmierci wynagrodził. Całem pragnieniem twego serca było ujrzeć progi rodzinne, ujrzałeś już wieczność, która jest naszą ogólną ojczyzną. Tam, ze zmarłymi, tu już poprzednio wierny mi, spodziewaj się wkrótce i twego kapłana i przyjaciela. Bądź przyjęty do chwały Bożéj. Pogrzebiono Rybaka; trzy salwy karabinowe oznajmiły o tem.

Płakały dzieci, płakały kobiety, płakały nawet wąsate, siwe postacie wojaków. Takiego żalu starych ludzi, około których tysiące śmierci się przesunęło, jeszcze nie widziałem!... Któż je wywołał, kto mnie zresztą natchnął nieraz piękną myślą i dziś zachęcił do napisania tego ustępu dla was, kto? Stary wiarus, prosty człowiek, najprostszy sługa Boży, rodem z Rawskiego *Kasper Rybak*, a raczej jego czyste, prawdziwie chrześciańskie życie! Niech pamięć jego śmierci obudza w was bratnie uczucie; oby każdy z nas umierał wśród tak szczerego żalu i ogólnej miłości u ludzi!

Anegdoty.

1. Pewien kmiotek idąc ze swoim synem na jarmark do miasteczka, ujrzał leżącą na drodze złamaną podkowę i tę synowi pokazał, mówiąc, żeby ją podniósł i schował:

— To niewarto tatulu, aby się po to schylać, odpowiedział leniwy Piotrek. Ojciec więc sam podjął podkowę i schował do sukmanki, a w najbliższej wiosce sprzedał ją kowalowi za cztery grosze, za które kupił wiśni, tak, aby to syn widział. W dalszej drodze, że upał był wielki i słońce dogrzewało, uczuł Piotrek mocne pragnienie, a że nie było w pobliżu ani studni, ani strumienia, gdzieby je mógł ugasić, omdlewał więc z gorąca. Ojciec to widząc, upuścił jednę wiśnię, niby przypadkiem; tę wnet Piotrek podniósł i zjadł z chciwością, poczem upuścił ojciec drugą, po którą syn nachylił się również skwapliwie, toż zrobił z trzecią, czwartą i tak dalej, aż do ostatniej, a Piotrek schylał się bez szemrania po każdą zosobna, którą mu ojciec upuszczał. Gdy się już wiśnie wyczerpały, wtedy ojciec obrócił się do syna i tak doń przemówił:

— Widzisz mój Piotrze, do czego cię lenistwo przywiodło; gdybyś się był schylił wprzódy raz jeden tylko, dla podniesienia podkowy, nie schylałbyś się potem razy kilkadziesiąt po wiśnie; niechaj drobne to zdarzenie będzie dla ciebie nauką na dalsze twe życie.

2. Szymek, co przepił i przehulał cały swój zarobek, będąc razu jednego trzeźwym, co mu się rzadko zdarzyło, rzekł do swego sąsiada: Michale! ja mam strach, żebym żebrakiem nie umarł? Jeszczeby to było pół biedy, odrzekł mu na to Michał, ale ja się boję, żebyście wy jako żebrak żyć nie musieli.

3. Pewien zamożny włościanin, przez rozpustę i hultajstwo tak podupadł, iż musiał iść za pastucha, w tej samej wsi. Pewnego razu spotkawszy go dawny przyjaciel, co nie jednę kwaterkę z nim wychylił, zapytał się go: Cóż to Jakóbie, czyście zostali pastuchem? Nie, odpowiedział pierwszy, tak źle nie jest; ja tylko pilnuję, żeby trzoda szkody nie robiła.

W drukarni J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 4 (16) sierpnia 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*